

Czy przed powodzią trzeba się bronić?

*Psychologa mniemania
na głębokie pytania*

Cóż to za szalone pytanie! Jak można podawać w wątpliwość zabiegi, które mają chronić ludzi, zwierzęta gospodarskie czy zgromadzony majątek? Jeśli przychodzi woda, mała lub wielka, to trzeba robić wszystko, by ograniczyć, a jeśli się da, to zniwelować zagrożenie.

Powódź, która nawiedziła Polskę w maju, po raz kolejny prowokuje ludzi do refleksji i działań dotyczących coraz lepszej i skuteczniejszej obrony przed wodą. Ech, gdybyśmy tak mieli nieograniczone fundusze, można by przeprowadzić te wszystkie inwestycje, które odkładaliśmy do tej pory, a których brak spowodował dramatyczne skutki. Spróbujmy jednak puścić wodze fantazji i wyobrazić sobie taką rzeczywistość, która w sposób doskonały chroni nas przed powodziami.



Potok Lubatówka wpada do Wisłoka, czerwiec 2010. Fot. Grzegorz Bożek

Gdybyśmy tak wyprostowali wszystkie rzeki, jednocześnie obudowując je wysokimi, nowoczesnymi wałami, gdybyśmy uczynili z nich wybetonowane rynny, to wtedy żadna woda nie mogłaby nam zagrozić. Każdy większy deszcz czy gwałtowny roztop śniegu szybko zostałyby przetransportowane wprost do morza. Gdyby w pobliżu rzek i wałów wykarczować całą roślinność, ponieważ utrudnia ona szybki spływ wody, przewężając koryto i akumulując osady, to mielibyśmy spokojną głowę. Gdyby w pobliżu wałów wystrzelać, wytruć czy w inny jeszcze sposób zlikwidować wszystkie bobry, piżmaki, nornice, krety, myszy, dżdżownice i inne organizmy naruszające strukturę wałów, to mielibyśmy w końcu spać spokojnie - wały by nie rozmiękały i nie groziłoby nam ich przerwanie. Gdyby tego jeszcze było za mało, mielibyśmy zbudować ogromne zbiorniki retencyjne, które gromadziłyby nadmiar wody i redukowały do zera ryzyko powodzi. A gdyby przyszły naprawdę solidne deszcze? Może wtedy nasi, a najlepiej amerykańscy naukowcy wymyśliliby naprawdę skuteczne metody wpływania na pogodę. To byłaby prawdziwa rewolucja - nie ograniczanie skutków, tylko sięgnięcie do samej przyczyny. Deszcz na zawołanie, błękitne niebo na życzenie. Czy coś wtedy mogłoby nam jeszcze zagrozić?

Gdyby te wszystkie marzenia się spełniły, gdyby te ambitne, ale jakże szlachetne i ze wszech miar korzystne cele zostały zrealizowane, to wtedy ze spokojną głową mielibyśmy robić to, czego tak pragniemy: budować domy tam, gdzie się nam zachce, mieć piękne osiedla z oknami skierowanymi na płynącą rzekę. Ale przede wszystkim mielibyśmy mieć pod kontrolą całą rzeczywistość. To jest sen, który musi się spełnić. To pragnienie, które kieruje niemal każdym naszym krokiem i stoi u podstaw całego rozwoju cywilizacyjnego. Ech, tak by się chciało...

Dzisiaj, dotknięci przez powódź, boleśnie zranieni przez naturę, będziemy jeszcze bardziej, z większym zaangażowaniem wcielać w życie tę piękną i ambitną wizję. Niech w końcu ziści się nasze pragnienie. Niech cały świat legnie u naszych stóp! Niech już nigdy nie będzie źle.

Ktoś powie, że ten program jest nierealny. Ale to jeszcze pół biedy. On jest najzwyczajniej zabójczy - dla nas. Gdyby jakimś cudem udało się go wprowadzić w życie, już bylibyśmy martwi.

Przypomina to sytuację, w której paląc po kilka paczek dziennie papierosów, odżywiając się tłusto i siedząc w bezruchu, decydujemy się walczyć z potencjalnym zawałem serca wyrzucając je z własnej klatki piersiowej i zastępując najnowocześniejszą maszyną, o której wiemy, że nigdy się nie zatka

i nie zepsuje.

Czy to jest dobry pomysł – walczyć z własnym sercem, bronić się przed nim, gdy do oczu skacze, że to my sami jesteśmy sprawcami nieszczęścia?

Jeśli idziemy na wojnę z rzekami, bo rzekomo nam zagrażają, to niechybnie prowokujemy jeszcze większe kłopoty. Co ciekawe, nie pomagają tutaj najbardziej nawet rozsądne argumenty, analizy naukowe, wypowiedzi specjalistów czy przykłady choćby z Europy Zachodniej, gdzie zamiast ujarzmiania rzek (jak kiedyś) stopniowo się je renaturalizuje.

Dlaczego to do nas nie dociera? To dobre pytanie dla psychologa.

Wydaje się, że ponad wszystko pragniemy mieć rację. Wolimy cierpieć, a wielu z nas nawet zginąć, byleby postawić na swoim. To jeden z najbardziej zadziwiających, ale też i uniwersalnych mechanizmów psychologicznych. Jesteśmy stronnicy i zapatrzeni w siebie – taką właściwością obdarzyła nas natura, bo do pewnego stopnia jest to przystosowawcze i nazywamy to zdrowym narcyzmem. Ale w nadmiarze ta tendencja szkodzi. Dlatego też dramatyczne sytuacje, tragedie czy momenty kryzysowe są dla nas szansą na zmianę, na odstępianie od własnego stanowiska. Co jednak sprawia, że część z nas nie jest nawet wtedy skłonna zrewidować swoje przekonania? Są dwie możliwości: albo tragedia nie była wystarczająco dotkliwa, albo człowiek tak bardzo tkwi w schemacie walki – obrony, że nie jest dla niego możliwy inny sposób funkcjonowania. Tacy ludzie ciągle czują się zagrożeni, ale paradoksalnie sami prowokują to zagrożenie, aby uzasadnić nieustanną potrzebę walki i totalnej kontroli.

Tutaj można by zapytać dalej: skąd taka silna tendencja do utrzymywania schematu walki – obrony? Wiedza psychologiczna sugeruje, że stoi za tym słabość struktury „ja”. Wczesne, dziecięce zranienia i traumy przekładają się na kurczowe trzymanie się obron, które mają chronić przed potencjalnym zranieniem. Im słabsze „ja”, tym paradoksalnie silniejsza tendencja do walki, do manipulowania i kontrolowania rzeczywistości. „Odpuszczanie” sobie jest możliwe wyłącznie, gdy człowiek nie czuje się zbyt zagrożony, a głównym źródłem zagrożenia jest zawsze własna osoba, z dominującym rysem charakterologicznym.

To, co napisałem, nie dotyczy wyłącznie relacji międzyludzkich, ale również naszej relacji ze światem. Dzisiaj psychologowie podkreślają coraz wyraźniej, że mamy do czynienia z epidemią postaw i zaburzeń narcystycznych, które charakteryzują jednostki o słabym i niepełnym „ja”. Nie tylko coraz więcej ludzi manifestuje takie skłonności, ale też dostrzegamy, że nasza cywilizacja staje się coraz bardziej narcystyczna. Usilne i nadmiarowe budowanie własnej przewagi oraz próba kontrolowania rzeczywistości w coraz większym stopniu, są przesiąknięte narcystyczną trucizną.

Jeśli więc po powodzi, która ludziom zabrała domy i dorobek całego życia, ci sami ludzie z pomocą państwa odbudowują swoje dominium w tym samym miejscu, to zachowują się jak małe dziecko, które za wszelką cenę chce postawić na swoim, choć prowokuje to większe kłopoty w przyszłości.

Wojna trwa, wyzwanie zostało rzucone, rozpoczęto kolejny cykl eskalacji szaleństwa. Zaraz pokażemy, że przyroda z nami nie wygra, że jesteśmy w stanie obronić się przed każdym zagrożeniem.

Pytanie jest jednak takie: kto komu zagraża? Czy rzeki nam zagrażają?

Rzeka nie ma oczywiście intencji wyrządzenia komukolwiek szkody; nie ma złej woli, ani jakiejś ukrytej złości na nas. Rzeka ma swój rytm wezbrań i opadania. To jej oddech, który podobny jest do naszego, to właściwy jej puls, którym wibruje również wszystko wokół: atomy, drzewa, oceany czy pory roku. Powódź jest wyłącznie zjawiskiem ludzkim. Jest skutkiem naszych własnych działań –

nadmiernych skłonności do bronięcia się przed życiem i jego różnorodnością. Kto zatem zagraża komu?

Największym zagrożeniem dla nas jesteśmy my sami. Odcinając od siebie kolejne obszary dzikości i naturalności, coraz bardziej osłabiamy nasze wątłe „ja”. Budujemy coraz większy mur, mający nas uchronić przed złym światem, choć to rozpoznanie jest iluzją, a sam mur powoduje coraz większe cierpienie dla nas samych i dla tego, co wokół nas.

Dlatego jeśli uważamy, że musimy bronić się przed powodzią, to oznacza to, że uczestniczymy w jakimś koszmarnym tańcu, w jakimś cyklicznym dramacie, który sami prowokujemy.

Zamiast więc walczyć z rzeką, najlepsze, co możemy zrobić, to odkryć ją w sobie, stać się nią i zrobić to, co ona – dostosować się do tego, co jest. Woda zawsze idealnie i bezwysiłkowo wpasowuje się w warunki. Dla nas oznacza to pójście tam, gdzie jesteśmy w najlepszej zgodzie z tym, co jest. Gdzie nas chcą. To z pewnością nie jest rzeczna dolina. W zgodzie z miejscem, z rzekami, chmurami, lasami, zwierzętami i ludźmi nasze „ja” ma też znacznie większe szanse, by dojrzeć, stać się prawdziwie mocne i tak bardzo nie bronić się przed życiem. W takich warunkach nasz toksyczny narcyzm rozplywa się jak nocny koszmar w świetle porannego słońca.

Póki co jednak wojna trwa. My ludzie pokażemy tym rzekom takiego Wała. O!

Ciekawe, jak długo jeszcze.

Ryszard Kulik



Kolumna dofinansowana przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach